

PROMIEN

MIESIĘCZNIK

MŁODZIEŻY

GIMNAZJALNEJ

WRZESIEŃ

PAŹDZIERNIK

NR. 1. 1937 R.

ROK XIII.

I tyle łecz zapalisz na swym niebie,
Ileś za młodo życia wchłonał w siebie.

P R O M I E Ń

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjum Im. Marsz. Polski
Józefa Piłsudskiego w Ostrowie Wlkp.

Kierownik wydawnictwa — Redaktor odpowiedzialny — Redaktor naczelny
Ożegowski P. Prof. dr. J. Jachimek Pałys Feliks

KOLEDZY!

Cieszyłem się, że z chwilą kiedy do naszego gimnazjum uczęszcza przeszło 500 uczniów, znajdzie się dużo wybitnych talentów, które zasypią na „Amen“ Redakcję „Promienia“ artykułami.

Czekam tydzień, czekam drugi i zwątpienie zaczęło wkradać się do serca; bo czyżby naprawdę zapomnieli wszyscy o tym, że moralnym obowiązkiem każdego ucznia jest starać się, żeby „Promień“ istniał, a będzie tylko mógł istnieć wtedy kiedy będziemy dla niego pracować. Bo nie sztuka, Koledzy krytykować to, co ktoś napisał, ale sztuka napisać coś lepszego od tego artykułu, który się chce krytykować.

Skoro zaś będzie wielki wybór „arcydzieł“ to „Promień“ będzie jak lustro.

Trudno zaś — mając dziesięć przeciętnych artykułów stworzyć „cacko“.

Piszcie — a nie krytykujcie ?

Wielu się pyta, na jaki temat pisać ? Wszystko jedno Kolego — tylko pisz szybko a nie zakop się w pomysłach, bo nigdy z nich nie wybrniesz, i nic nie spłodzisz.

Nie piszcie — koledzy — a macie pretensje niczym nieuzasadnione mówiąc: Czemu ten „Promień“ tak długo nie wychodzi ?

Przecież pustych, czystych kart papieru nie wydamy zrozumiecie to!

Chyba, że chcecie czytać to co jest umieszczone między literami — ale myślę, że takiej sztuki czytania — jeszcze nie osiągnęliśmy. Więc naprawdę — piszcie Koledzy, do tego kochanego pisemka...

... piszcie Wy maluczcy coście dopiero przybyli bo i Wasze artykuły na pewno będą umieszczone i to na honorowym miejscu „Promienia“.

Wy „starzy“ też nie zakładajcie rąk, lecz nie dajcie się prześcięgnąć tym młodym kolegom, bo byłby wstyd.

Więc od dziś „starzy“ wysłużeni na polu pisania artykułów, nie upadają, lecz tworzą nadal, — młodzi pokażą, co umieją... a my z otwartymi rękoma czekamy.

Redaktor naczelny.

Robinson Crusoe.

Parę lat temu, gdy jeszcze się krótkie nosiło portki i włosy z czupryną spadającą na oczy, jeszcze przed błogosławioną manią „indianerstwa“, łuków, wigwamów, gdzie bogiem był Winnetou a największym pisarzem Karol May — wpadła mi w ręce zdarta na strzępy, umorusana, załzawiona, zatłuszczona a przedziwna książeczyna: „Robinson Crusoe“... Cały świat kopnąłem w ką i pojechałem z Robinsonem na samotną wyspę... To było przeżycie! A potem czytało się na gwałt wszystkie możliwe „Robinsony“... a więc „polskie“, „tatrzańskie“, „szwajcarskie“, „amerykańskie“ i kat wie jakiel

Z „Robinsonem“ „za pazuchą“ uciekało się z domu w lasy, na wyspy wśród stawów, łowiło się ryby, szukało się śladów dzikich...

O autora tej książki nikt nie pytał, nikt o nim nie mówił.. Nie było go właściwie. Poco zresztą autor; grunt że książka jest!

A jednak żył w Angli, na początku XVIII wieku, człowiek, którego życie bogatą było mozaiką.

Założył on angielskie banki i towarzystwa ubezpieczeniowe, był przywódcą politycznego stronnictwa „Dissenterów“ walczącego mieczem o tolerancję i swobodę religijną, był wygnańcem i jako banita tułał się po Hiszpanii, Francji, w Niemczech, wrócił i znowu walczył piórem i mową, miał sklep wyrobów bawelnianych, zrobił „plajtę“, wyrzucony poraz drugi z Anglii dostał się do Brukseli, tu napisał rozprawę o bankach, o reformie prawodawstwa handlowego, o wy-

chowaniu publicznym, o drogach, kanalizacji kraju, zyskał sobie łaskę u Wilhelma III, napisał poemat pt. „Prawdziwy Anglik” a gdy wskutek rozgorzałych na nowo prześladowań religijnych wystąpił z obelżywym pamfletem przeciw fanatycznym Dysserterom i duchownym, wylądował w więzieniu i stanął pod pręgierzem...

Tu wśród hańby miał się ukorzyć?...

Nie! Oto tłum oblegi pręgierz w entuzjazmie, oto deszcz kwiatów pięknych dam zasypał skazańca...

To był dzień jego triumfu...

W więzieniu napisał „Hymn na cześć pręgierza” i redagował dziennik ludowy...

Zapomniano o nim...

Zestarzał się złamany stękiem nieszczęść majątkowych i moralną gehenną, wzgardził światem...

I uciekł sam na odludną wyspę kontemplacji i marzeń, aby tam w samotni znaleźć szczęście życiowe...

Taką ucieczką, takim wyrazem pogardy dla całego społeczeństwa angielskiego jest właśnie dzieło, arcydzieło na miarę światową:

„Zadziwiające przygody Robinsona Crusoe z Yorku Daniela Defoe” osnute na kanwie prawdziwego przeżycia majtko szkockiego.

Przygody Robinsona opowiedziane są z taką prostotą, z takim realizmem, że uwierzyć w ich prawdziwość musi każdy chłopiec... (Dziewczynki niech czytają wszystkie arcy-nudne „Anie w szkole”, „Anię z zielonego wzgórze” itd).

Każdy szczegół z życia rozbitka, każda jego myśl są po prostu naszymi myślami w chwili pożerania tej lektury. Bije nam serce, gdy burza szaleje na wyspie, gdy okręt trzaska się na rafach robinsonowego królestwa, gdy czereda dzikusów ląduje na wyspie, gdy z apetytem zjadają upieczonogo wroga...

I znów na wyraz pogardy dla białych, jedynym przyjacielem prawdziwym Robinsona zostaje ostatni dzikus, ludożerca Piętasek... Robinson nie jest ani wybitnie zdolny, ani wysportowany, ani muzykalny, ani zbyt sprytny, ale jak prosty przeciętny człowiek, systematyczną pracą buduje swoje szczęście, buduje społeczeństwo na wyspie. Sędziwy zaś pastor wpaja jej mieszkańcom zasady religii nie dogmatycznej ani książkowej, lecz prostej, opartej na miłości Boga i bliźniego. Na tym kończy się pierwsze, prawdziwe wydanie „Robinsona Crusoe”. Inne niezliczone naśladowania odbiegają

od oryginału myślą daleko, albowiem siłą się na fantastyczne przygody, których w „Robinsonie“ Daniela Defoe zupełnie brak.

Oto życie twórcy i oto szkic pysznego dzieła, królującego wszechwładnie w kraju lat dziecińczych. Dzieło tak przyciągnęło swą popularnością autora, że zapomniano o nim zupełnie, zupełnie niesłusznie, jak zresztą o wszystkich prawie twórcach „książek dla dzieci“. „Robinson“ to książka, której myśli nie rozumieją czterdziestoletnie i starsze „dzieci“. Może to nawet dobre, że o Danielu Defoe zapomniano, bo inaczej mielibyśmy jednego „kacerza“, „bezbożnika“ i anarchistę więcej. Pa! Mr Defoe, pozdrów twego jedyne go przyjaciela Piętaszka!

Józef Szczublewski.

„Expo 1937”.

(Wrażenia z wycieczki do Francji).

Wycieczka młodzieży szkół średnich w Polsce rozpoczęła się dnia 6 lipca br. w Katowicach.

Już od godziny dziewiątej do auli tamtejszego gimnazjum państwowego zaczęli schodzić się uczestnicy wycieczki. Gwar i hałas wzrastał się z każdą minutą, choćby dlatego, że przeszło połowę obecnych na sali stanowiły Koleżanki.

Punktualnie o godzinie 9,30 wkroczył marsowym krokiem na salę kierownik wycieczki p. dr. Francić, a za nim całe grono profesorskie, mające stanowić naszą eskortę.

W chwilę po tym nastąpiła prezentacja i wzajemne zapoznanie się profesorów z nami. Wygłoszono kilka pogadanek o trasie wycieczki i miastach, w których mieliśmy się zatrzymać.

Następnie kazano nam zebrać się grupami w poszczególnych klasach, gdzie rozdano nam biało-czerwone wstążeczki z napisem „Polska-Pologne“ i udzielono ostatnich informacji. Teraz mieliśmy czas wolny aż do godz. 16-tej.

Rozeszliśmy się więc grupami na miasto, by obejrzeć je choć z wierzchu.

Czas wolny minął bardzo szybko

Z wybieciem godziny czwartej popołudniu bagaż nasz znajdował się już na wozach w drodze na dworzec.

Zaieci lokowrem bagażu w dwóch wagonach pullmannowskich i jedzeniem, w przerwie, kolacji nie zauważyliśmy wcale jak szybko nadeszła godzina odjazdu.

Pociąg pospieszny Katowice — Praga wyruszył o godzinie 22,03 z głównego dworca w Katowicach,

A więc właściwa podróż na wystawę paryską rozpoczęła się Nic chwilowo nie mąciło naszej radości. O spaniu nie było wcale mowy. Lecz oto nastąpił pierwszy niemiły zgrzyt, który niestety w dalszej drodze powtarzał się.

Dojechalśmy do granicznej stacji Zebrzydowice, gdy doniesiono nam, że będziemy musieli opuścić polskie wagony i na czeskiej granicznej stacji Petrowice przesiąść się w wagony czeskie.

W przedziałach zakotłowało się. Najgorzej mieli ci, którzy już wygodnie urządzili sobie legowisko na noc. W tempie przyspieszonym trzeba było ładować wszystko do walizek i wysiadać na peron, bo oto pociąg po pobieżnej rewizji straży granicznej polskiej stawał już na ziemi czeskiej, w Petrowicach. W dziesięciu minutach rozlokowaliśmy się w wagonach „CSD”.

„Rychlik ku Pradze” (pociąg pospieszny) pomknął teraz ciągniony małą, tatrzańską lokomotywą „Skody” w ciemną noc. —

„Rychlik” w międzyczasie przebiegł sporą część Czech. Minął Morawską Ostrawę, Olomuniec, Pardubice. Dopiero niedaleko już Pragi, przez szyby wagonów naszych zaczęły wyglądać jakieś zaspane twarze uczestników wycieczki.

„Rychlik” miał jednak skandaliczne spóźnienie, jakie nie spotkaliśmy nigdzie później. Miał przyjechać do Pragi o godzinie 6,40, a przyjechał o godzinie 7,40. Spóźnienie wynosiło więc całą godzinę, co nam było bardzo nie na rękę, gdyż już o godz. 8,20 odchodził pociąg pospieszny do Norymbergi, a myśmy mieli jeszcze w restauracji dworca Wilsona zjeść śniadanie. Ledwo też stanął pociąg na peronie, wypadliśmy jak wichur z wagonów pędząc do restauracji, gdzie od godziny czekało na nas śniadanie. Nie tyle jedliśmy, ile pochłanialiśmy porcję. Niektórzy znaleźli jednak jeszcze czas na fotografię na tle pomnika Wilsona przed dworcem.

Wsiedliśmy więc po 40 minutowym postoju na „Wilsonowej nadraźni” do pociągu i ruszyliśmy w stronę granicy czesko-niemieckiej przez najpiękniejszą okolicę Czech.

Przez całą drogę tkwiliśmy w oknach nie mogąc oderwać od przepięknych dolin, rzek, lasów, łąk, no i świetnych dróg asfaltowych.

Czarująca wprost była dolina, w której znajdowało się miasto Striblo.

Mijamy światowej sławy uzdrowisko Mariánské Lázně i słynne z piwa Pilzno.

Lecz oto pociąg mijając się z jarami rzek, wpada na stację w Chebie.

To spotykamy po raz pierwszy kolejarzy i urzędników niemieckich.

A więc to już granica.

Bez żadnej prawie kontroli celnej, wjeżdżamy na teren Rzeszy.

Krajobraz zasadniczo nie ulega zmianie. Nadal czaruje swym pięknem. Mijamy Bayreuth, miasto sławne z teatru wagnerowskiego.

Pociąg kieruje się teraz na południe. Mija mosty i tunele jeden za drugim. Co chwila dają się zauważyć winnice i przede wszystkim chmiel.

O godzinie 15,52 zajeżdżamy do Norymbergi. Bagaż zabierają samochody, my zaś pieszo dążymy do kwatier mieszczących się w tamtejszym domu dla młodzieży hitlerowskiej. Kolację jemy po zakwaterowaniu w „Münchner Hofbrau”. Po kolacji robimy przechadzkę po mieście, oglądając niektóre zabytki miasta.

Dopiero następnego dnia następuje właściwe oglądanie miasta. Przede wszystkim oglądamy starą studnię, budowaną z kamienia w roku 1360, przez jednego z grafov frankońskich, a mającą służyć początkowo jako czubek wieży jednego z kościołów. Ponieważ wciągnięcie na wieżę tego kolosa, liczącego 19½ m. wysokości, było niemożliwością, zużytkowano go jako studnię.

Idziemy dalej w stronę kościoła św. Sebalda. Kościół ten rozpoczęto budować w stylu romańskich, a zakończono w gotyckim.

Następnym zabytkiem, to ratusz w stylu renesansowym. W sali ratuszowej odbywa się obecnie co rok otwarcie zjazdu hitlerowskiego. (Reichsparteitag). Na ścianie widnieje olbrzymi obraz malowany według projektów Dürera przez jego uczniów, a przedstawiający wjazd cesarza Maksymiliana w roku 1519 do Norymbergi. Charakterystycznym jest napis nad głową cesarza: „Czym na niebie słońce, tym ja na ziemi.”

Po wojnie trzydziestoletniej w tej właśnie sali zawarto pokój. Na pamiątkę po tym pokoju, został t. zw. lew pokoju, trzymający miecz w ręcę. Z otwartej jego gęby lało się wino, które mieszczanie stojący przed ratuszem łapali w kubki i pili na pomyślność pokoju. Dziś lew ten stoi w kącie zapomniany, a wino nie cieknie już z jego paszczy.

Przechodzimy dalej do sali rady. Zdobią ją gobeliny A. Dürera. Wiszą tam obrazy Maksymiliana I. i Gustawa Adolfa. Tuż nad dzwiami wisi rzeźba Wita Stwosza, o któ-

rym oprowadzający nie omieszkał dodać, że był znanym rzeźbiarzem, oczywiście Niemcem, uczącym się u A. Dürera. Wychodzimy teraz na podwórze, by zejść do lochów. Powoli oglądamy cele śmierci, w których przebywali więźniowie skazani na śmierć. W celi takiej znajduje się tylko ława, jakaś miska i wgłębienie w środku podłogi, gdzie spalano różne cuchnące zioła, by zatęchłe powietrze wilgotnej celi uczynić jeszcze cięższym, okna oczywiście ani śladu.

W dalszym ciągu dochodzimo do sali tortur. Wszystko co umysł ludzki potrafił wymyślić dla złamania winnego, a bardzo często i niewinnego, tu się znajduje. A więc koła, jakieś haki, liny, łańcuchy, kule ołowiane i kamienne.

Do jednych z najwymyślniejszych narzędzi tortur należał t. zw. „lehtaczka”. Skazańcowi zakuwano nogi i ręce w jedną belkę z otworami, w t. zw. „dyby”. Jednocześnie pacholkiwie lechtali więźnia. Męka była tym straszniejsza, że trwała całymi miesiącami. Równocześnie w celi spalono zioła, dające oszałamiający dym. Częste więc były tu wypadki samobójstw i obłąkań.

Po drodze, podziemnymi korytarzami napotykamy na studnię, gdzie zbierano wodę dla więźniów. Wodę samą przynosili jednak skazańcy długim korytarzom, aż ze studni zamkowej, i wlewali ją następnie do studni, a właściwie zbiornika wody w kształcie studni, w więzieniu.

Obejrzelismy jeszcze kuchnię więzienną i wyszliśmy na powierzchnię.

Jedna rzecz uderzyła nas wszystkich w tej wycieczce do tego podziemnego miejsca mąk. Ton i sposób objaśniania przewodnika. Mówił tak, jakby był dumny z tego co dokonywali jego praprzodkowie. Duch germański przemówił przez niego.

Po obejrzeniu ratusza, udaliśmy się do domu Albrechta Dürera. Domek ten budowany podobnie jak wszystkie domy starej Norymbergi, zawiera wewnątrz całe muzeum pamiątek po tym mistrzu. Po bliższym obejrzeniu jednak rzeźb i obrazów, stwierdzamy, że oryginałów znajduje się tutaj bardzo mało. Są one przede wszystkim w Wiedniu.

Dalej idziemy obejrzeć zamek. Składa on się z kilku części, jak: pałacu Hohenzollernów, Barbarossy i innych.

Każde nadużycie, każdy wybryk, każdy nieopatrzny czyn,
mści się później najsrożej na nas samych.

W. St. Reymont.

Z zamku tego roztacza się przepiękny widok na miasto. Głód daje się jednak solidnie we znaki. Jemy więc obiad, a następnie wyruszamy tramwajami na olbrzymie pole, gdzie odbywają się doroczne zjazdy hitlerowskie.

Po obejrzeniu tego ogromu, i po zapoznaniu się z planami jeszcze większego stadionu mającego powstać w najbliższych 4 latach wracamy do miasta, by po kolacji o godzinie 19.12 odjechać do Nancy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. Banaszekiewicz.

Przy piechocie fajno jest...

Myslałem, że jak się artykuły sypną, boć to przecież po bogatych we wrażenia wakacjach — to w „Promieniu” zabraknie kosza a pierwszy numer wyjdzie pękaty co się zowie. A tymczasem usłyszałem żale redaktorów, że z artykułami „bida”. A co najważniejsze, nie ma żadnych wspomnień z Rozewia. Więc pomyślałem sobie że kiedy godniejsi i zdolniejsi nie zabrali się do tego — to trza ich zawstydzić. Bo szkoda przecież, by „potomność gimnazjalna” nic nie wiedziała o chwilach szczytowego rozwoju gimnazjalnego hułca, a każdy przyzna, że w tym roku kompania ostrowska a zwłaszcza część gimnazjalna była „pierwszoklasna” i prym dzierżyła w obozie D. O. K. VII. że takiej w Ostrowie nie było i nie będzie takiej „grandy”, jak w roku obecnym. Ilościowo może kiedyś zostaniemy zdystansowani, ale jakościowo — nigdy!

Ale o czym tu pisać? Codzienny normalny tryb życia każdy może sobie wyobrazić. Spróbuję więc opisać takie sobie wystawki od szablonu — „nóż a widelec” a się uda. A więc, proszę państwa, co chwilę jakaś „momentka”.

Zaczynamy!

Napierw Gniezno! Zajechaliśmy tam w wielkim deszczu. Przez całą drogę było mokro a więc i na postoju musiało być „mokro”. A mimo to, może właśnie wskutek tego całe Gniezno zaroilo się od junackich mundurów, wszędzie był gwar i ruch, zwłaszcza po zaulkach i parkach, lecz największy na dworcu. Tam piłkarze „Venetii” urządzili trening na

„bosaka”, kopiać swe własne „komysery”, skacząc, łażąc po płotkach, kropiąc się deskami itp.

Inni chcieli wypróbować swe piękne głosy, ale że nieco zachrypli, więc oberwali tylko burę od kolejarzy i swojej władzy.

Marsz z Hallerowa po zasmolonej autostradzie do Rozewia był obrazem nędzy i rozpaczcy — więc lepiej spuśćmy na to zasłonę...

Piękne było nad morzem powietrze ale w naszym obozie — niezbyt. Nie można nikogo za to ganić — bo wyjątków nie było. Z początku był „wyc”, lecz potem otrzaskaliśmy się z tym nieco. Czy pamiętacie jedną z pierwszych zbiórek, które robił nasz szef, gdy to „na bacność”... myślałem, że mnie wtenczas kolki wezmą.

A jeszcze więcej „szportu” było wówczas, gdy dostaliśmy naganą za tę „niepoprawność” od p. por. S... O ile się nie mylę, to w szeregu „na bacność” śmialiśmy się tak bardzo tylko wówczas i w jeszcze jednym wypadku, gdy przy wieczornym apelu, przy spuszczeniu flagi zagrał hejnał „rezerwowy trębacz”. Bo wówczas to i „władza” nie wytrzymała...

A teraz mam jedną radę dla tych, którzy kiedyś na jakimkolwiek bądź obozie zostaną na „gębie” posmarowani pastą do obuwia. Najlepiej bracie, jeśli to będzie w nocy, przyłożyć „saperkę” do głowy... Dlaczego? Proszę zwrócić się po informacje do..... w „kaście”.....

Nieoficjalny mecz bokserski z kompanią drugą, poznańską! Pierwsza walka nie doszła „do rezultatu” wskutek przeawagi poznańskiego rzeźnika... Drugą, bardzo emocjonującą wygrał „Tkoc”. Zatem prowadzimy 2:0. Ale wszyscy wpadli w ekstazę dopiero po trzecim spotkaniu. Bo proszę sobie wyobrazić. Ze strony poznaniaków występuje drańgal o silnych „muszklach”, „Struś” a z naszej strony mały, niepozorny chłopczyzna.

Ryki okropne. „K. O”! „Wal go”! „W bebecz”. Tylko my dołączamy „Wacek” a oni „Struś”...

A jednak „Wacek” wygrał. Tylko co najciekawszej to okazało się po meczu, że „Wacek” i „Struś” są najlepszymi

przyjaciółmi, chodzili kiedyś razem do „gamai”, a poznali się dopiero, gdy „Wacek” zwyciężył przez „k. o.”.

Pod względem sportowym III. kompania a raczej „Venetia” na wywczasach górowała nad całym obozem D. O. K. VII. i D. O. K. VIII. Czy przypominacie sobie te mecze koszykówki i siatkówki w Rozewiu i Cetniewie? Na pewno nie wypadnie wam z pamięci sędzia — fujara z Cetniewia, bohaterski Winiu „z kozią bródką” z Cetniewia, kłótnia „Barana” z pułkownikiem, dowódcą obozu D. O. K. VIII. A najlepszym z tych zawodów był moment, gdy jeden z „kaściarzy”, upomniany za „wojskowe” słówko wyzwał upominającego sierżanta z D. O. K. VIII. za wtrącenie się do nie-swoich rzeczy, wyzwał go, ale służbowo, to — „na bacność”.

Nie zapomnę tej nocy, którą przesiedziałem jako podoficer służbowy kompanii. Po sprawdzeniu obecności (grunt że trzewiki „na bacność” były pod łóżkiem, a samo łóżko utrzymane w ten sposób, jakby ktoś spał), czy czasem kto nie wymknął się do Chłapowa (!) względnie do obozu LMK. położyłem się na łóżku obok „Jędrzeja”, tuż przy wyjściu, gotów zerwać się przy nadejściu kontroli.

A tymczasem wiara poczęła robić taki hałas, że aż szefa „nerwło” i kazał mi iść po oficera służbowego, by nam zrobił nocny alarm. Wyszedłem za drzwi i zaraz wróciłem meldując, że go nie mogłem znaleźć. Kazał mi iść drugi raz i tak długo szukać, aż go nie znajde.

Zmuszony koniecznością znalazłem go, ale niestety razem z majorem, i obaj, niestety, „przykrochmalili się do baraki”. Musiałem się majorowi zameldować, a zwykle meldowano się tak. P. majorze, st. junak Xy melduje się jako podoficer służbowy III kompanii. Podczas mej służby nic ważnego nie zaszło... Tak nie mogłem się meldować, to pocóż go wołałem? Więc zaimprovizowałem: „P. mjr. st. j. xy melduje się jako podof. st. III. komp., podczas mego urzędowania zaszedł lekki bałaganik”...

Jak to usłyszał nasz szef, służbista jak się patrzy, wyleciał z łóżka jak z procy w jednej nędznej kószulinie którą miał na sobie, chlasnął bosakami na bacność i zameldował: „Panie majorze, melduję posłusznie że z łańcucha się urwali...”

Długa nam potem major mówkę palnął, dosyć soczystą z której jeden tylko epitet zapamiętałem: zas.....ńcy

Służba podoficera ma swe cienie, ale ma też swe blaski. Do tych należy „dopołudnie”. Cała kompania w polu a w kan-

celarii prócz „kompanijnej ofermi i gryzipiórków“ tylko szef. A ponieważ czasem nie było w kancelarii ani jednych ani drugiego, więc wkraczał tam służbowy. A warto było, bo kancelaria była właściwie spiżarnią, gdyż „kanceliści“ „fasowali“ zwykle prowianty 5-tej drużyny (najdzielniejszej), która dlatego, że miała dwóch ludzi więcej, nosiła jedno wiadro „kakalu“ i wogóle wszystkiego więcej. — Dlaczegożby więc biedny służbowy nie miał ulżyć kancelarii? A był tam do wyboru chleb biały i „komyśniak“, smalec, masło, marmolada, „kakal“ ser szwajcarski, kielbasa, „czekolada (prasowana kawa)“ i t. d.

Benefisem III. kompanii było własne ognisko. Bo i przy wspólnych ogniskach wypełniliśmy dużą część programu, najlepszą (zwłaszcza gdy przyszły Warszawianki z Chłapowa). Pokazaliśmy, że nie tylko górujemy pod względem sportowym, lecz także pod względem umysłowym, że górujemy zmysłem estetycznym, zdolnościami literackimi koniecznymi, lotnością umysłu no i że w ogóle: górujemy. Wszystkie punkty były „bycze“, gorąco oklaskiwane nawet przez II kompanię. Naszym ogniskiem doszczętnie pognębiliśmy Poznań, który na każdym polu z nami rywalizował i trzeba przyznać, że był przeciwnikiem równorzędnym. „Pyszenie“ wyszedł nasz mały „konferansjer“, dobrze odżywiany przez 5-ego drużynowego. „dzielnie“ wyszedł chór rewelersów, „byczo“ wyszedł nasz generalny poeta mimo że na włosach miał spinki miał „fujazerkę“ Ale najlepszą była nasza murzynka „Haiti“, słowem „dzielnie“ było.

A teraz na zakończenie parę słów o „grandzie“. W III. ostrowskiej kompanii górowaliśmy my, ostrowiaczy — trzeba to przyznać, nie chwając się wcale. Nasza „gamaja“ grała pierwsze skrzypce, drugie „maszyniarze“ z Poznania pod dowództwem „Fakira“, „Kadeta“ i „Skrzypczaka“ — trzecie Kęпно z Ostrzeszowem a czwarte i ostatnie „handlówka“ z Ostrowa.

„Byczo“ było! I zapewne nieraz wrócimy wspomnieniem do tych młodzieńczych, beztrudnych dni, nieraz zaśpiewamy sobie nasz nieoficjalny hymn, którego nauczył nas Poznań, „Przy piechocie fajno jest...“

Stanisław Zybała.

Piękne sumienie: stać przy przyjacielu.
Jeszcze piękniejsze: zostawać przy prawdzie.

J. Kochanowski.

Życie.

Sam

*Idąc ulicą, przez tłum się pcham
Z prądem wraz, to znów pod prąd;
Rękę swobodnie trzymam w kieszeni
I gwizdzę na wszystkich wkrąg.*

Józef Szczublewski

Anima lacrimans.

(Z pobytu w mauzoleum Kasprowicza w Poroninie)

Kamieniom zimnym swe serce oddałeś
i w kamień duszę twą zaklął artysta.
Cisza otacza twój grobowiec mały
wszelka radość tu życiowa pryska!

Sam tu spoczywasz...
Samotnym jesteś
— jak byłeś za życia —

tylko dokoła natura kochana,
tylko z daleka Dunajca szept cichy...

Na ziemi zawsze twa dusza cierpiąca
z smutkiem chodziła przez szereg lat długi
i z bólem do grobu odeszła.

I teraz —

zza marmuru ukrycia
szept jakiś cichy,
Skarga po niewczasie —
— to samo, co w twojej poezji...

Gdym stał samotny przed twoją mogiłą,
poznałem zaraz i ból i cierpienie,
poznałem z czym się porałeś przez życie...

Smutek spadł na mnie
i na moje serce,
w dłoniach ukryłem oblicze,
a z głębi duszy szeptał się wyrwał cichy:
„że życie było i zostanie niczym”!

Erte

Przez rzeki i jeziora...

Wakacje, to słowo, które nas urzekło na kilka miesięcy przed końcem roku szkolnego. A w tym roku zamierzaliśmy wyruszyć gdzieś w nieznane. Ale teraz po obozach harcerskich i po innych wycieczkach, postanowiliśmy poznać urok wycieczki kajakowej. Przypominając sobie, tylko tyle, że długo się nad tym nie zastanawialiśmy. Trasa, przygotowania i różne formalności dużo czasu nam nie zajęły.

A więc nasza droga prowadzi z Pińska do Augustowa. Kraina, którą zamierzamy dokładnie poznać to Polesie. Zupełnie to inny świat od naszego i od całej naszej polskiej Ojczyzny. To też z pewnym lękiem myśleliśmy o tym kraju bagien i łąk, gdzie ani ludzi się nie spotyka, ani jedzenia nie można kupić. Ale od czego spryt i doświadczenie. Na nim więc się opieraliśmy i to nas często ratowało.

Wreszcie nadeszła godzina wyjazdu z Ostrowa. Teraz, gdy już siedzimy w wagonie, zapoznam Was z uczestnikami wycieczki. A więc pierwsza obsada to: Owczarek i Płóciennik, druga Białkowski i ja. Podróż nasza do Warszawy nie była zbyt przyjemna, gdyż cały pociąg był zapchany żydami. Rano byliśmy w Warszawie. Wieczorem ruszamy dalej, a w nocy dojeżdżamy do Pińska.

Miasto jest zupełnie uśpione. Jednak jadąc do przystani w samym środku miasta, słyszymy okropny gwar, z domów wylatują nieubrane i zaspane żydówki i żydzi. To pali się jakiś dom na przedmieściu.

W Pińsku byliśmy trzy dni tj. w sobotę, niedzielę i poniedziałek. W poniedziałek po południu żegnani przez „znajomych”, a jest ich kilka na brzegu, ruszamy. Przy pożegnaniu Tadiusz „trzaska” zdjęcia swoim aparatem. Zrobił już ich kilka. Wszyscy robią poważne miny. Tylko my nie możemy utrzymać się ze śmiechu. Tu muszę się przyznać, niczego się nie obawiając i wydać naszą tajemnicę: Błon do

aparatu nie mamy, więc fotografowanie nic nas nie kosztuje. Z zapewnieniem, że fotografie przyślemy, ruszamy w dalekie nieznane.

Mamy pomyślny wiatr, więc wciągamy żagle. Dostyc szybko się posuwamy. Za nami jest widoczny z całej swej okazałości Pińsk. Te dwie wieże, które wyraźnie odcinają się na horyzoncie, jedna barokowa, a druga gotycka, to wieże katedry i kościoła pojezuickiego, którego gmach na wzniesieniu góruje nad całym Pińskiem.

Powoli ginie nam z oczu Pińsk historyczny, Pińsk kościelny, Pińsk kramików i kajaków w przystani.

Jedziemy Piną do Horodyszcz. Przez cały czas patrzymy na ten kraj. Polesie — to kraj błot — wydmy piaszczystych i lasów. Rzeki płyną tu wolno, rozdzielając się na luźne ramiona, wśród których niełatwo znaleźć właściwe. W gęstwie oczeretów roi się od dzikiego ptactwa, którego żałosne krzyki budzą rankiem turystę. Ten osobliwy kraj, na wskroś egzotyczny, chociaż leżący w środku Europy, zdołał podbić swoim leniwym urokiem niejednego wyrafinowanego mieszkańca zachodu.

Po kolacji ruszamy dalej w drogę. Na rzece spotykamy stada kaczek, które przemyślnie gospodynie wypuszczają wiosną na rzekę. Tu się mnożą i tu żyją, jesienią zaś wracają do wioski prosto pod nóż. Muszę zaznaczyć, że znajdujemy się teraz na Jasiółdzie. Płyniemy wolno, bo pod prąd i pod wiatr. Późnym wiecz. dobijamy do brzegu. Nie wysiadamy na brzeg, tylko układamy się do snu w kajakach.

Zbudziły mnie pierwsze odgłosy ptactwa, ale inne niż gdzieindziej na polskich wodach. Jakieś cmokania, jakieś kwilenia żałosne, które w miarę upływania czasu stają się coraz głośniejsze, coraz silniejsze. -- Podnoszę głowę, przecieram oczy, lecz nic nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ja jestem. Morze szuwarów, w których stoją nasze kajaki, tonią w białej śmietanie mgieł. Na firmamencie widać pewne rzadkie i poblądłe, jakby z niewyspania gwiazdy. Ale opalizujące na wschodzie opary, zwiastują wschód słońca. Teraz dopiero widzę przed sobą całą trójkę, która ochno przygotowuje śniadanie. Ach tak, — Jesteśmy na Jasiółdzie, w drodze na Niemen ku, północnym jeziorom Suwalszczyzny.

Lecz mniejsza o to gdzie jesteśmy. Grunt, to dobre śniadanie, a wszystko inne w tej chwili nas nie obchodzi. Jesteśmy w świetnych humorach. To też to pierwsze śniadanie mija nam bardzo szybko. Jednak nie mamy jakoś szczęścia. Już drugi raz pada deszcz, który bardzo daje się

nam we znaki. Tu jeszcze nie wiedzieliśmy, że prawie codziennie podczas naszej wycieczki będą padały deszcze.

Oprócz deszczu trzeba jeszcze przewyciężyć prąd rzeki, który jest tutaj bardzo silny. Rzeka rozchodzi się na liczne ramiona. Nie wiemy, którym ramieniem jechać. Wreszcie wyjeżdżamy z tych błot. Zbliżamy się do kanału Ogińskiego. Prąd jednak jest tak silny, że nie możemy wiosłować, więc holujemy kajaki z brzegu.

Po drodze spotykamy Poleszuków. Stoją oni w tyle łodzi i flegmatycznie odpychają się długimi wiosłami o dno rzeki. Ta łódź zastępuje tu wszystkie środki lokomocji, bo Polesie to kraina, gdzie wszędzie można dotrzeć łodzią. Ale też trudność innej komunikacji sprawia, że wielu Poleszuków nie wydała się poza obręb swej wioski. To też dziwną nam się wydawała ta ludność Polesia. Ciężkie warunki życia wyrobiły w niej wielką wytrzymałość i cierpliwość. Głównym zajęciem Poleszuka jest rybołówstwo. Żywiołem jego woda, a także i las, gdzie Poleszuk daje się we znaki zwierzyńcu, bo jemu przecież nie ujdzie przed bystrym i czujnym okiem. Oprócz tego każdy, Poleszuk jest pewnie wytrawnym rzemieślnikiem. Łódź zrobi, dom postawi, kozuch uszyje, a czasem i kobiecie w domu pomoże. Tak to pędzi życie, na tej ziemi pełnej błot, rzek i jarów jej tajemniczy mieszkaniac.

Nad kanałem rozciąga się już inna kraina. Wszędzie same lasy. Tuż przy wjeździe do kanału Franc i Czechu o mało nie dostali się pod łopaty statku kursującego na tej linii. Ja jako widz, nie umiem opisać strachu i przeżycia w ciągu tych paru minut, ale w każdym bądź razie, oni mi tego nie zapomną.

Nad kanałem Ogińskiego znajduje się mnóstwo schronów betonowych z czasów wojny światowej. Tu ciągnęła się główna linia frontu w roku 1915-1917. Obok czwartej śluzy zwiedzaliśmy cmentarz niemieckich żołnierzy, którzy polegli tu w tej wojnie. Jest ich tutaj 200. Poległych oficerów wywieziono do Niemiec.

Wreszcie dojeżdżamy do jeziora Wyganowskiego. Jest to największe jezioro spotkane w ciągu naszej wycieczki, o powierzchni 27 km². Tu rozbijamy obóz.

Rychło rano budzi nas Franc. Na horyzoncie widać nadchodzącą burzę. Bardzo szybko zbieramy rzeczy i idziemy do domu strażnika wodnego. Wnet też zaczął padać deszcz. Do 8 mej rana siedzieliśmy nad jeziorem. Wreszcie zabieramy się do dalszej drogi. Jest bardzo silny wiatr, ale na nieszczęście przeciwny. Wszyscy turyści stojący tu obozem odradzają nam dalszej jazdy, ze względu na wysoką falę

Film z Rozewia.



„Musztra wolna”



„Szefunio:”

„Haaa.. Co? Jak się nazywacie?”

(Rysunki i klisze: H. Konieczny)



Niech żywi nie tracą nadziei, że
..... dojdą do Rozewia.



„Lotnik! Kryj się”
lub „Dookoła
kompanii 3 razy
biegiem marsz!”

My jednak nie przejmujemy się. Po trzech km. jazdy jesteśmy na środku jeziora. Tutaj jest największa fala. Woda wlewa się do kajaków. Wszystkie rzeczy mamy mokre. Garki pływają po kajaku. Wreszcie nie ma innej rady. Tadzik musi wylewać wodę, a ja wiosłuję. Można naprawdę dostać morskiej choroby. Wreszcie zmęczeni i zmoczeni dojeżdżamy do brzegu.

Nareszcie wjeżdżamy na Szczarę. Przy samym wjeździe spotykamy tablicę z napisem: 220 km. do ujścia. Na całej Szczarze spotykamy mnóstwo tratów, które z powodu wielkiego wiatru zatarasowały nam drogę. Przy pomocy obsługi jakoś szczęśliwie się przedostajemy. Po obu stronach rzeki ciągną się całe obszary łąk, na których wznoszą się stogi a stojące na nich bociany i czaple wyglądają, jakby jakies bożyszcze dawnych ptaków, na potężnych cokołach. Całość robi jakieś posępne wrażenie.

Najwięcej kłopotu na Szczarze mamy na jazach. Przewoźna część jest zamknięta, więc musimy kajaki przenosić. Na jednym z nich rozerwał mi się ster. Za Byteniem mieliśmy prawdziwą burzę. Z Bytenia ruszyliśmy na żagle. Jednak wiatr nic dobrego nam nie przyniósł. O godz. 3-ciej po poł. dogoniła nas burza. Pioruny już trzaskały nad nami, gdy ściągaliśmy żagle. Przez kilka minut było prawdziwe oberwanie chmury. Przez płachty namiotowe, płaszcze i swetry przeszedł deszcz. Jeszcze teraz czuję spływającą wodę po plecach. Ubrania nasze były zupełnie mokre, jednak tem się nie przejmowaliśmy, bo w kabinach mieliśmy jeszcze suche ubrania. Jednak wywołaliśmy wilka z lasu. Nadchodzi druga burza. Uciekamy do wsi. Jednak nie zdążyliśmy już dobiec. I już teraz reszta ubrania przemoczona. Do tego jeszcze wpadłem do rowu z wodą. Po burzy wracamy do kajaków. Ruszamy w dalszą drogę. Po kilku km. drogi dogonili nas nasi znajomi będący na motorówce. Wzieli oni nasze kajaki na bok. Zaczyna znów padać deszcz. Nakrywamy się kocami. Jest to jedyna rzecz, która jest sucha. Jednak po dwóch godzinach i koc jest mokry. O godz. 11-tej wieczorem robilibyśmy postój. Wśród deszczu rozbijamy namiot. My śpimy na motorówce pod namiotem, ale tylko w trójkątach kąpielowych. Całą noc pada deszcz. Nie możemy usnąć. Przytulilem się do Czecha. Jest nam trochę cieplej. Na drugi dzień dojechaliśmy do Ilonienia. Po drodze zwiedzamy słynne żeremia bobrowe.

Przypomina mi się wjazd na Niemen. Jesteśmy oddaleni kilka km. od ujścia Szczary. Słońce powoli zachodzi, a mrok zaściela ziemię. Po obu stronach rzeki rozciąga się

wspaniała puszcza nadniemieńska. Nad wodą unoszą się opary Ciemno już było gdy wjechaliśmy na Niemem. Wśród nas panuje jakiś dziwny nastrój. Nikt nie mówi ani słowa. Posuwamy się tylko z prądem. Gdzieś w oddali śpiewają flisacy śliczne pieśni białoruskie. Płyniemy bez wiosłowania, zasłuchani w ten śpiew, Niemen robi na nas wrażenie. Tak dojeżdżamy do pierwszej wsi nad Niemnem, Nowosiótek.

Oprócz Zelwian, gdzie gościliśmy w dworze p. Kaczkowskich, przez trzy dni nie zatrzymywaliśmy się na Niemnie nigdzie. Tych ognisk urządzanych w wspaniałym parku nad Niemnem, nikt z nas nie zapomni, a zwłaszcza Czechu, który jeszcze po powrocie chciał oddać za nie pół życia.

Jest skwarne południe lipcowe. Nad rzeką wisi upał. Jaskrawe blaski słońca migają po wodzie. Lśniące od opalenizny mięśnie ramion i tułowia, grają pod brunatną skórą, przy każdym leniwym poruszeniu wiosłem. Wielki czas odpocząć. Czy szukają odpowiedniego miejsca. Tu w tym wykrocie musi być głęboko, więc wymarzone miejsce do kąpieli. Tu się zatrzymamy, przy tej białej piaszczystej plaży. Wkrótce kajaki są na brzegu. W cieniu warzy się obiad, my zaś z prawdziwą rozkoszą zanurzamy wyprażone ciała w wodę.

Powoli dobijamy do celu. Jeszcze trasa z Grodna do Augustowa. Do Grodna przybyliśmy 20 lipca. Mamy dużo czasu, więc zabieramy się do zwiedzania Grodna. Jest to jedyne miasto, które szczegółowo zwiedzaliśmy, więc będę się starał opisać to.

Zwiedzanie Grodna zaczynamy od ul. E. Orzeszkowej. Znajdują się tutaj charakterystyczne małe domki murowane. Osadzał w nich Tyzenhauz majstrów zagranicznych. Tworzyły one wówczas odpowiednik dzisiejszych miast ogrodów. Tu znajduje się były kantor fabryczny Tyzenhauza. Pod nr. zaś 17 jest dom Elizy Orzeszkowej. Tu zamieszkiwała i tworzyła nasza sławna powieściopisarka. O kilka domów dalej, po stronie parzystej rozpoczyna się Ogród Miejski z pomnikiem Orzeszkowej. Pomnik ten stoi tuż przy miejscu, na którym wznosił się dawny pałac Tyzenhauza, późniejsza siedziba Repnina i generałów-gubernatorów. Pałac ten został zburzony przez Niemców, splonął. Niedaleko, na placu Wolności stoi pomnik obelisk, wystawiony na pamiątkę zwycięstwa nad bolszewikami w 1920 r. Stąd idziemy na ul. Horodniczańską, dochodzimy do domu p. Wróblewskich. Tu urodził się znany wszystkim fizyk i chemik. Z ul. Horodniczańskiej idziemy na ul. Dominikańską, noszącą nazwę od dawnego klasztoru O. O. Dominikanów. Dziś jest tu Państwowe Gim-

CYKL JESIENNY.

Jesienny nastrój.

*Gdy idzie Jesień pełna melancholii,
Ze łzami deszczu, z łkaniem wichury
Coś mnie tak ciężko w mojej duszy boli
I w czarne smutku spowija ją chmury*

*Udziela mi się to jej zadumanie
I nęka duszę poprzez okres długi
Aż śnieżna zima z kolei nastanie
I zmarzną w sople deszczu strugi*

*A gdy wiosenne wymierają kwiaty
Cierpiąc na szronie bezlitosne klucia
I ja majowe utracam uczucia...*

*I już nie jestem w uczucia bogaty
Bo je przygniotła przygnębienia zmora
I dusza moja jest wątła i chora.*

Jesień.

*Lecą liście z drzewa żółte i czerwone,
Wiatr się na nie gniewa, w obcą niesie stronę.
Ptaki w lot już lecą na ciepłe wyraje.
Oziminy mokną na smętnym pustkowiu
I chmury się wloką, ciężkie jak z ołowiu...*

Stanisław Zybala

Genialne tematy.

Posłuszny woli swej „władzy“, chcę napisać do „Promienia“, Tematów, wiadomo dosyć.

Więc piszemy. „Zabierzemy się“ do jakiegoś poważniejszego tematu; na przykład: „Zagadnienie współczesności i XX wieku w czasach starożytnych“.

Zaczynamy: Już słynny poeta starogrecki Cezar Neron zastanawiał się na tym, czy kaloryfery, radio i telewizja około roku 1937 nowej ery, będą działały. Oprócz tego...

Co, oprócz tego? „Oprócz tego, nic nowego”. O, nie, tak trudnego tematu nie mogę poruszać. Lepiej zajmijmy się najłatwiejszym, rozwijanym przez różnych siódmio — i ośmioklasistów, tematem:

Bezkrytyczna krytyka promienistego „Promienia”.

Temat łatwy, wprost za łatwy, więc nie będę go rozwijał. Spróbuję z lżejszej beczki: „Pieniądze, i miłość, czyli o czym śnią kucharki”.

Przy kombinowaniu nad tym tematem, przypomina mi się pewne zdarzenie zabobonnej bony. Jednego dnia rano, ucieszona stwierdziła, że śniły się jej wszy, więc na pewno będzie liczyć pieniądze. I..., o dziwo, sen sprawdził się, bo... krawcowa przysłała rachunek i bona musiała wyliczyć pieniądze „na stół”.

Ale i ten temat odrzucę. Nie mogę się zdecydować o czym pisać. Ooo! Czuję, że Muza zbliża się, szybko maczam pióro, chcę pisać, lecz... Muza znowu oddaliła się.

„Czemuś odeszła”?

Oto nowy temat. Chcecie mieć go rozwiniętym? Rozwijajcie, bo ja jestem niezdolny, przecież: „Czemuś odeszła”?

Jednak się zdecydowałem. Napiszę krótki komunikat szyfrowany litero-liczbami, tylko dla „wtajemniczonych”.

Oto on:

„6 czy 7? 7, 7, 7!!!”

Après multum obrades und głosowanes

summa est: 776

† S(ympatio)

= 777

Finis!

I jeszcze drugi komunikat:

Uwaga! W ostatniej chwili dowiedziałem się, że Naczelna Komisja Humorodajna, urzędująca częściowo w Ostrowie, rozpoczęła pracę nad zmodernizowaniem staropolskich przysłów. Na pierwszy ogień poszło.

„Kto się lubi, ten się czubi”, które teraz brzmi:

„Kto się lubi, ten ma w czubie”.

Jednak „coś” napisałem! Jest dość tematów.

„T. Z. O. N^o”. IIIa.

Dualizm.

Gdy rzucę okiem na tych wszystkich ludzi,
 Z którymi żyję, z którymi obcuje,
 Dziwne uczucie wewnątrz mnie się budzi,
 Wątek refleksyj bardzo gorzkich snuję.
 Gdy widzę różne ich postępowanie,
 Płytką mentalność, zrozumienie bytu,
 W moc mię swą bierze spleen, rozczarowanie
 I pelen jestem nuuy i przesyty.

Lecz to nie wszystko! Bo złość czuję w sobie,
 Że nie mam woli, że w ich otoczeniu
 Małpę podobną do nich z siebie robię,
 Żem sobą tylko jest w osamotnieniu.
 I w takiej chwili szedłbym na kraj świata,
 I w takiej chwili szedłbym do klasztoru,
 Aby być sobą poprzez wszystkie lata,
 Od wiosny życia do cieni wieczoru.

Lecz pozostaję! Jeszcze mam nadzieję,
 Że znajdę „człeka” pośród plebejuszy,
 Któremu cząstkę mego „ja” przeleję,
 Którego rozstrój mojej jaźni wzruszy.
 Więc płynę dalej, poprzez życia fale!
 A chcąc osłodzić życia czarną kawę
 Durzące opium rozmarzenia palę
 I oczekuję na losy łaskawe.....

Stanisław Zybala

Po pierwszej lekcji.

Sadzę, że faktowi koedukacyjnego kursu języka angielskiego warto poświęcić kilka słów.

Niemale ogarnęło nas zdziwienie, gdyśmy się dowiedzieli, że lekcje języka angielskiego mamy pobierać razem z uczennicami gimnazjum żeńskiego.

Ale — dictum, factum. Koledzy z liceum — jeszcze nie-

zaawansowani — poczęli na nas patrzeć z rezerwą, z czego my naturalnie nic sobie nie robiliśmy.

Poszliśmy. Było to w poniedziałek 4 października 1937 o godz. 16. Wchodząc, spotkaliśmy młodszych kolegów z klas III i starszych z VIII. będących razem na jednym kursie. Ktoś schylił się i powiedział mi „na ucho“:

— Wiesz, wcale... ten tego... wcale...

Tak, to tamte, ale te.. te... „nasze“...

Siedziały cicho, grzecznie (bo to początek)... Było ich okrągłe 13 x 1, a nas tylko 13. Niektóre z Koleżanek chępiły się już czerwonym kolorem wypustek i...

Lekcja rozpoczęła się zupełnie normalnie. Zaraz na początku pani profesor zainteresowała się naszymi nazwiskami no i... angielszczyzną. Dziewczynki podobno umieją więcej od nas. Mamy jednak nadzieję, że w przyszłości i czerwone wypustki uchylą czoła przed rzeczywistością.

Jednocześnie poznaliśmy większą część imion naszych Koleżanek, co nie było specjalną trudnością zważywszy, że mamy tylko Irki, Hanki, Marylki, Janki i Maruszki.

Na razie tyle. Po jednym razie nie mogę więcej napisać. Może potem więcej. Dodam tylko, że niektóre z koleżanek zupełnie niepotrzebnie zadzierają nosa do góry, choć w istocie nie mają czego. Mam wrażenie, że to się jeszcze zmieni.

Eryk.

Ballada ostrowska.

(Parafraza piosenki Lwowskiej)

Koleżankom L. K. i H. Sz. — poświęcam

W ciemnej ulicy miasta Ostrowa
Z rodzicielami swymi się chowa:
Piękna jak anioł (chociaż nie Zosia!),
Jak pączek słodka — panna Leosia.

A ojciec panny — ten jest piekarzem,
Zacięte targi miewa z młynarzem,
O niższą cenę codziennie prosi,
Bo — posąg zbiera pannie Leosi.

A matka panny za ladą staje,

Co ojciec piecze, matka sprzedaje;
(szneki sprzedaje dwie za 5 groszy)
I to jest matka panny Leosi

Zaś niedaleko tejże zagrody
Mieszkał tam sztubak wesoły, młody,
I codzień rano bułki zanosił,
Bo bardzo lubił pannę Leosię.

Lecz ojciec panny odejść mu kazał,
Rzekł: „Nie dla ciebie córka piekarza (?)”
I choć codziennie bułki roznośisz,
To nie dostaniesz panny Leosi!”

A na to sztubak zalał się łzami
I kupił bułek ze „strychninami”
(A kupił ich coś około osiem)
I wszystko zjedli z panną Leosią.

Lecz gdy to zjedli, to wnet poczuli,
Że się „na amen” bułkami struli,
Że się na koniec obu zanosili...
— I tak się skończył romans Leosi....

.
Morał tej bajki w tym się zasadza:
„*Nie kochaj nigdy córki piekarza!*
Bo życia swego nie będziesz pewny,
Koniec twój będzie (niestety) rzewny!”

Sfinks.

Z TEKI WZOROWYCH WYPRACOWAŃ.

„Janek — artysta”

(Fantazja)

Matce mojej — Zwyk.

Poczęło świtać. Janek zsunął się z tapczanu, zmówił pacierz, ubrał się i wyszedł, witając z uśmiechem wstający dzień. Bardzo lubiał tego rodzaju chwile. Wówczas mógł się z całą swobodą oddawać rozmyślaniom o swym

losie. Był biedny. Znikąd nie mógł spodziewać się pomocy. A tak bardzo chciał się kształcić. Słyszał był, że są takie szkoły, w których uczą grać na skrzypcach. na tym instrumencie który tak bardzo umiłował. Skądby tu wziąć na to pieniądze? Poza tym nie miał innego życzenia: chciał tylko umieć grać, by to co czuje móc, oddać w muzyce, by raz rzewnie płakać — grając zawodzące melodie, to znów w chwilach radości rżnąć od ucha do ucha tak, jak to ciągle słyszał był w karczmie...

Minęło od tej chwili osiem lat. Janek jest obecnie w Warszawie, w konserwatorium muzycznym, uczy się grać na skrzypcach. Jako artysta dał się już poznać. Jego kole-dzy, tak jak i starzy muzycy, powtarzali z uznaniem: Ten umie grać, albo: „Jaka to rozkosz go słuchać”. A on cieszył się, że może wypowiedzieć swe myśli tak wdzięcznym instrumentem, jakim są skrzypce...

„Więc tak było, — zaczął opowiadać kolegom, swym miarowym cichym, lecz wyraźnym głosem. — Gdy pewnego razu pasąc krowę mej matki na pastwisku, koło gaiku grałem na mych skrzypkach jakąś smutną piosenkę, bo mi niewesoło było wówczas na duszy, ujrzałem o kilkanaście kroków stąd samego pana dziedzica, zasłuchanego, z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. W pierwszej chwili zatrwożyłem się, ale widząc, że spogląda na mnie z dobrotliwym uśmiechem odważyłem się na dalsze granie. Kiedy skończyłem, podszedł do mnie i rzekł krótko: „Przyjdź do mnie jutro” — i odszedł. Patrzyłem za nim w osłupieniu. Pan dziedzic raczył do mnie przemówić! Nie mogłem tego pojąć. Po pewnym czasie wytłumaczyłem sobie, że może mnie chce nająć do jakiejś roboty. Ale do jakiej? To było dla mnie narazie zagadką.

Następnego dnia wstałem, umyłem się i wykąpałem w rzece (tak kazała matka mówiąc, że do pana dziedzica trzeba iść czysto umytym, a nie tak jak zawsze wyglądałem) i poszedłem z bijącym sercem. Pan dziedzic był już na progu gdy przybyłem. „Jak się masz” — zawołał. — Dobrze że przyszedłeś. Mam z tobą dużo do pomówienia. — Byłem ciekawy co mi też powie. Stałem i... słuchałem. „Widzisz — mówi — byłem wczoraj tam koło ciebie, stałem długą chwilę i słuchałem jak ty grasz. Mówię ci, że nie słyszałem jeszcze takiego grania. Dlatego powziąłem już tam na miejscu taką myśl, byś ty za moje pieniądze się kształcił. Gdy będziesz sławny, gdy będziesz bogaty, jak zechcesz, to mi oddasz

dług. A jak nie, no to się mnie wielka krzywda nie stanie, bo jak widzisz mam dosyć pieniędzy". —

Stałem jak wryty. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, by coś podobnego mogło się stać. Po chwili oniemiała powróciłem do stanu świadomości i jak stałem, tak runąłem do nóg dziedzica, nie mogąc ze wzruszenia słowa wymówić. Ale dziedzic podniósł mnie i powiedział: „Ty kiedyś będziesz wielkim.. Będziesz napewno. Ja to czuję... Przez ciebie, będzie Polska sławną, bardzo sławną”...

...Sala była wypełniona do ostatniego miejsca. Cały artystyczny i bogaty Paryż zjawił się, by oglądać słuchać i podziwiać Polaka! Gdy przed tygodniem przybyła do Paryża wiadomość, że Janko przyjeżdża, momentalnie zostały wykupione wszystkie bilety...

I oto dziś...

...Zaczął grać... Popłynęła w świat pieśń, zrazu smutna, bardzo smutna, zda się że już, już, dźwięk się załamię, tak skrzypce załośnie zawodziły swą melodię..., płakały., unosiły się nad swą niedolą, skarżyły się, to znowu błagały, prosiły o coś nieznanego... Ale co to? Przecież ta żalność milknie, a skrzypce jakoś żywiej poczynają grać, coś wtłoczyło w nie życie, coś jakby natchnęło je nową siłą... To już nie te, co poprzednio, tak trwożliwe tony, to już nie to coś smutne, tu przecież przebija jakaś radość i wesołość. Skrzypce wlatują swymi dźwiękami w niebiosa ze szczęścia...

...A publiczność słucha.. zapatrzona jak w bóstwo w artystę... nie mogąc od niego i skrzypiec oderwać wzroku...

...To „coś“ przykuwa ich... tamują oddech, by broń Boże nie uronić ani nawet, najmniejszej nutki... czują, że Janko wypowiedział to co myśli, to z czym tak długo kryć się musiał...

... I tak...

... opowiedział...

... swe...

... dzieje...

... Janek jedzie pociągiem... Przed kilkoma godzinami otrzymał z kraju depezę: „Matka umarła“. I było właśnie to w chwili, gdy czytał był list gratulacyjny od prezydenta Francji i innych dygnitarzy...

... straszne...

... a jednak prawda...

... mknie pociąg... turkocą koła jego rytmicznie i zdają

się mówić: Bie - dny Jan - ku, bie - dny Jan - ku... Janek to słyszy, słyszy uszami duszy, uszami artysty...

... patrzy w dal mętnym wzrokiem, nie zdając sobie sprawy, co teraz czyni..

... ocknął się...

.. zrozumiał, że życie nie ma dla niego teraz wartości bez matki... bo pocóż mu sława, gdy nie ma u czyich stóp jej złożyć...

... Stał nad mogiłą... wczoraj był pogrzeb... przyszedł by się pomodlić, ale nie miał siły, taka nim żałość owładnęła...

.. rzucił się na grób i przylgnął spiekłymi usty i płakał...

... za matkę...

... jako syn...

... który ostał się sierotą...

... po pewnym czasie wstał i chwiejnym krokiem opszedł mogiłę (po prawej stronie zmarłej był teraz) wyjął rewolwer krzyknął: „Dla Ciebie Matko” i..... i..... oprzytomniał...

.. przecież to grzech tak się zabijać...

... takie młode życie... „może się” komu jeszcze na co przydam — pomyślał i udał się w kierunku wrót...

... W domu zrozumiał, że teraz już nie potrafi utrzymać skrzypiec w ręku...

... teraz nie potrafi z tych tak drogich... kochanych... tkliwych strun, wydobyć jakiś ton... bo... ach; wszystko przepadło...

... stracone...

... już nie wróci... — ach!...

... stało się...

Zwyk.

KĄCIK HARCERSKI.

Na marginesie z obozu w Kowańcu.

2 lipca br. o godz. 17 zebraliśmy się na dworcu ostrowskim, aby wyjechać do Nowego Targu, w okolicy, którego mieliśmy obozować z Chorągwią gdańską. Było nas dziesięciu. Do Krakowa podróż uprzyjemniały nam drużny z g: n-

nazjalnej drużyny im. E. Sczanieckiej, które jechały podobno też na obóz gdzieś z stronę Mikuliczyna. Od Krakowa pożądany acz niewygodny sen. Na miejscu stanęliśmy rano o godz. 8. Stąd jeszcze godzina marszu na teren obozu, do Kowańca.

Tutaj dopiero rozglądaliśmy się lepiej: zespół był liczny: Cztery drużyny zwykle, kurs podharcemistrzowski i gromada suchów. Komendę nad całością objął dh. hm. Zawrocki Oskar, jako komendant i dh. hm. Zurek A., jako obożny. Zdziwiającym był fakt, że komendantami poszczególnych obozów byli Ostrowiaczy. Zaraz poznaliśmy p. Lewandowską, która była kierowniczką kolonii PZOO., związku, na którego zaproszenie przybyli do Kowańca harcerze gdańscy. Dowiedzieliśmy się, że na kolonii oprócz nas przebywa sporo młodzieży męskiej i żeńskiej z Warszawy.

Po południu drużyny zabrały się do stawiania namiotów. Smutnym był fakt, że tych była niewystarczająca ilość tak, że w jednym wypadku w dwu 12-osobowych namiotach musiały się pomieścić cztery zastępy w ogólnej sumie 30 ludzi. Trzeba zaznaczyć, że jedna drużyna przez cały czas, a druga przez pierwszy tydzień obozowały w wiele pozostawiającej do życzenia stodole. W takich warunkach praca na prawdę była trudna. Gorzej było z materiałem potrzebnym do wewnętrznego i zewnętrznego urządzenia. Wytłumaczona więc była mierna reprezentacja obozu, względnie nadmiernie długie urządzenie się.

Drugą złą stroną — była sama myśl koncentracji. Zabrała ona dużo czasu, nie dając większej korzyści. Przyglądnijmy się teraz rozkładowi dnia: 6,30 pobudka, gimnastyka, mycie, ubieranie się, podniesienie sztandaru, 7,50 zbieraliśmy się wspólnie z kolonią warszawską na placu przed willą Federacji: modlitwa, podniesienie sztandaru, raport, śniadanie. To kończyło się o 9. Następowaly ćwiczenia. W południe kąpiel. Należy dodać, że mieliśmy „własny” basen, który jednak z powodu swych szczupłych rozmiarów (12x25) nie mógł odrazu wszystkich pomieścić. Kapaliśmy się dlatego kolejno, każda drużyna po... 15 minut i to jeszcze nie codziennie. Raz basen czyszczono, drugi raz znowu poziom wody był za niski, kiedy indziej pogoda nie pozwalała. O 13 obiad. Po obiedzie cisza bezwzględna i czas wolny. O 16,30 podwieczorek, potem gry i zabawy do 18. Kolacja, przygotowanie do ogniska — ognisko. Posiłki spożywalimy wspólnie na miejscu osłoniętym dachem. Własnej kuchni nie prowadziliśmy.

Ładnym punktem programu były ogniska — urządzone

wspólnie lub indywidualnie. Do rozrywek należał także „dancing” lub raczej wieczorek taneczny, na którym ładnie można było się ubawić. Mieliśmy także wiele gości. Oprócz stałych — jakimi byli dh. Komendant i obożny koncentracji, wizytowali nas także Naczelnik ZHP, dh. hm. Zb. Trylski, odwiedzał nas także gen. Górecki i liczni towarzyszący mu goście.

I tak upłynął nam czas na harcach i pogłębianiu zrozumienia życia i ideologii harcerskiej. Trzeba dodać, że okolica była wspaniała. Tuż obok przepływał o krystalicznie czystej i zimnej wodzie i kamienistym dnie potok, prawie u stóp widniało strome wzgórze, pokryte pięknym lasem. Na horyzoncie, przy dobrej pogodzie dokładnie malowała się sylwetka Tatr.

Największe jednak wrażenie wywarły na każdym wycieczki. Nie było ich wiele. Najpierw półdniowa na Turbacz (1311 m), dalej dwie dłuższe w Pieniny i do Zakopanego. Pierwsza na trasie: Nowy Targ — Czorsztyn — Kwaścienko (łodziami) — Trzy Korony — Czorsztyn (pieszo) — Nowy Targ (wozami). Nikt chyba nie zapomni cudnych przełomów Dunajca lub pysznej panoramy ze szczytu Trzech Koron. Druga wycieczka — do Zakopanego ograniczyła się do zwiedzenia muzeum T. Chadubińskiego, doliny strażynskiej i Gubałówki; część tylko była kolejką linową na Kasprowym Wierchu, nad Morskim Okiem lub Czarnym Stawem. Przy sposobności zobaczyliśmy także mauzoleum i harendę Kasprowicza w Poroninie.

Mówiąc o zachowaniu się uczestników, ich współzyciu itd. — należy przyznać, że pozostawiało ono wiele do życzenia. Smutnym był fakt, że często słyszało się niemieckie rozmowy, co dowodziło o obojętności względem mowy ojczystej. Można to wytłumaczyć po części tym, że większość uczestników nie miała jeszcze 15 lat, nie doceniała przeto znaczenia języka polskiego.

Czas trwania obozu skończył się 30 lipca. W drodze powrotnej wstąpiliśmy do Krakowa, zwiedzając jego zabytki.

I tak zniknął jeden miesiąc skwarne go lata spędzony daleko — w Kowańcu!

Erte

Jednoznacznikiem wyrazu dzielności męskiej jest wyraz: Praca.

E. Orzeszkowa.

KĄCIK KRYTYCZNY.

Kol. „Zwyk” — „Letni wieczór” nie udał się koledze. Nie możemy więc umieścić go w „Promieniu”.

Kol. „Zwyk” — „Wacek”, chociaż każdy Wacek jest morowy i sympatyczny, to jednak „Wacek” kolegi nie zasługuje na umieszczenie w „Promieniu” z powodu nędznego przedstawienia tej osobistości.

Kol. Józef S. — „Lazurowy Bałtyk” — Władze „wyższe”, stojące ponad redaktorem, osadziły, że wierszyk jest za anemiczny, dlatego nie można go posłać do druku.

Kol. Józef S. — „Skok w dal”. Kolega sam wydał na siebie wyrok zaznaczając, że skok się nie udał. I istotnie skok do „Promienia” był „spalony”.

Kol. „Erte” — „Z wysokich Tater wiaterny sum” odłożyliśmy do następnego numeru „Promienia”.

Kol. „St. Z.” — „Pogrzeb lotnika” wydrukujemy później.

Redaktor naczelny.

ŻYCIE ORGANIZACYJNE.

Zebranie Ideowe T. T. Z.

Data: 12 X. 1937. Pierwsze w nowym roku szkolnym zebranie rozpoczął przewodniczący powitaniem p. dyrektora, nowego opiekuna T. T. Z. po ustąpieniu p. prof. Chrzanowskiego, oraz powitaniem wszystkich członków i nieczłonków, którzy przyjeżdżali. A był na tym zebraniu referat kol. Ożegowskiego Przemysława p. t.: **„Zdrowy duch w zdrowym ciele, czy zdrowe ciele w zdrowym ciele?”**, który obrazowo, przykładowo, kontrastową metodą sprowadzał zagadnienie do wzajemnego uzupełniania się i współpracy między duchem a ciałem, sportem a nauką, mięśniami i rozumem.

W dyskusji nad referatem padło znamienne zdanie: „W gimnazjum naszym, biorąc obrazowo, jest 20 sportowców i 20 ideowców, naukowców-pracujących w organizacjach, a 480 uczniów obojętnych ideowo, leniwców, takich, którym się ani myśleć, ani robić ponad program szkolny nie chce”.

Zebrał wszystko, wyświecił i odpowiedział na zapytania p. dyrektor, podnosząc fakt, że gimnazjum zasadniczo jest dla nauki a nie dla sportu, że o wychowanie fizyczne w nim się dba, że ono ma mieć jako cel tężyźnię fizyczną narodu, a nie rekordy. Obecnych 40 proc.

Sprawozdanie

z funduszu społecznego, składanego przez uczniów po 10 gr. miesięcznie, którym rozporządza Zarząd Szkolny. Rok 1936/37.

Wpływy

wrzesień 1936	43,70 zł	marzec 1937	43,40 zł
październik 1936	47,80 zł	kwiecień 1937	41,70 zł
listopad 1936	40,40 zł	maj 1937	36,30 zł
grudzień 1936	44,40 zł	czerwiec 1937	28,20 zł
styczeń 1937	39,40 zł		
luty 1937	51,55 zł		
		Razem	416,85 zł

Wydutki

Tydzień szkoły Powsechnej 1936/37	100,00 zł
Na szkołę w Piaskach na Polesiu	33 60 zł
Fundusz Szkolnictwa pols. za granicą	74,20 zł
Dar Narodowy na T. C. L.	49,90 zł
Fundusz Obrony Morskiej	36 65 zł
	<hr/>
Razem	294,35 zł
Pozostało na rok szkolny 1937/38	122,50 zł

Lekkoatletyka.

Najlepsze wyniki „Venetii” w roku 1937.

60 m 7,6 sek. — Kubacki K. — mistrz Ostrowa; — 100 m. — 12,0 sek. Kubacki K. — m. Ostrowa; — 200 m. — 24,0 — Sitarek J. — m. Ostrowa; 400 m. — 53,1 sek. — Sitarek J. — m. Ostrowa; — 800 m — 2,7 sek. — Sitarek J. — m. Ostrowa; — skok w dal — 6,29 m — Białkowski W. — m. Ostrowa; — skok wzwyż — 1 65 m. — Białkowski W. — m. Ostrowa; — trójskok — 11,79 m — Białkowski W. — m. Ostrowa; — skok o tyczce — 2 85 m. — Śródka Wład. — wicemistrz Ostrowa; — oszczep — 44,60 m — Białkowski W. — m. Ostrowa; — dysk 1 kg. — 43,20 m — Śródka Wład. m. Ostrowa; — dysk 2 kg. — 30,05 m. — Śródka Wład. — wicem Ostrowa; Kula 4 kg. — 13,88 m. — Szczublewski J. — mistrz Ostrowa; — Kula 5 kg. — 12 56 m. — Szczublewski J. — m. Ostrowa; — Kula 7½ kg. — 10,02 m. — Szczublewski J. — m. Ostrowa.

Prócz tych wicemistrzostwa Ostrowa mają z „Venetii” — 60 m. (Murach Jan), 100 m. (Sitarek J.), 200 m. (Kubacki K.), 400 (Stasiak Cz.), trójskok (Szczublewski J.).

TREŚĆ: 1. Koledzy. 2. Robinson Crusoe. 3. Expo 1937. 4. Przy piechocie. 5. Życie. 6. Anima lacrimans. 7. Przez rzeki i jeziora. 8. Cykl jesienny. 9. Genialne tematy. 10. Dualizm. 11. Po pierwszej lekcji. 12. Ballada ostrowska. 13. Z teki wzorowych wypracowań. 14. Kącik krytyczny. 15. Kącik harcerski. 16. Życie organizacyjne.

Członkami Drukarni Powsechnej J. Bąka i R. Górskiego
w Ostrowie Wilkp., ul. Kaliaska 31a.